



BESTSELLER „NEW YORK TIMES”
I „THE SUNDAY TIMES”

Zakon Drzewa Pomarańczy

część 2

SON
imaginatio

SAMANTHA
SHANNON

CZĘŚĆ 2

Zakon Drzewa Pomarańczy

SAMANTHA
SHANNON

Tłumaczenie: Maciej Pawlak

Kraków 2019

Zakon Drzewa Pomarańczy

SAMANTHA
SHANNON

Tłumaczenie: Maciej Pawlak

Kraków 2019

The Priory of the Orange Tree

Copyright © by Samantha Shannon-Jones 2019
International Right management: Susanna Lea Associates

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2019
Copyright © for the translation by Maciej Pawlak 2019

Redakcja — Joanna Mika

Korekta — Aneta Wieczorek

Projekt typograficzny i skład — Joanna Pelc

Adaptacja okładki — Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Rysunek na okładce — Ivan Belikov / ivanbelikov.com

Rysunki wewnątrz książki — Emily Faccini

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, tom II, Kraków 2019

ISBN: 9788381296281



434

Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w wydanie *Zakonu Drzewa Pomarańczy*:

PRODUKCJA: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Dagmara Kolasa

DESIGN I GRAFIKA: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka

PROMOCJA: Piotr Stokłosa, Łukasz Próchno, Gabriela Matlak, Aldona Liszka

SPRZEDAŻ: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga, Karolina Żak

E-COMMERCE: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Łukasz Szreniawa, Marta Tabiś

ADMINISTRACJA I FINANSE: Klaudia Sater, Monika Płuska, Honorata Nicpoń, Ewa Bieś

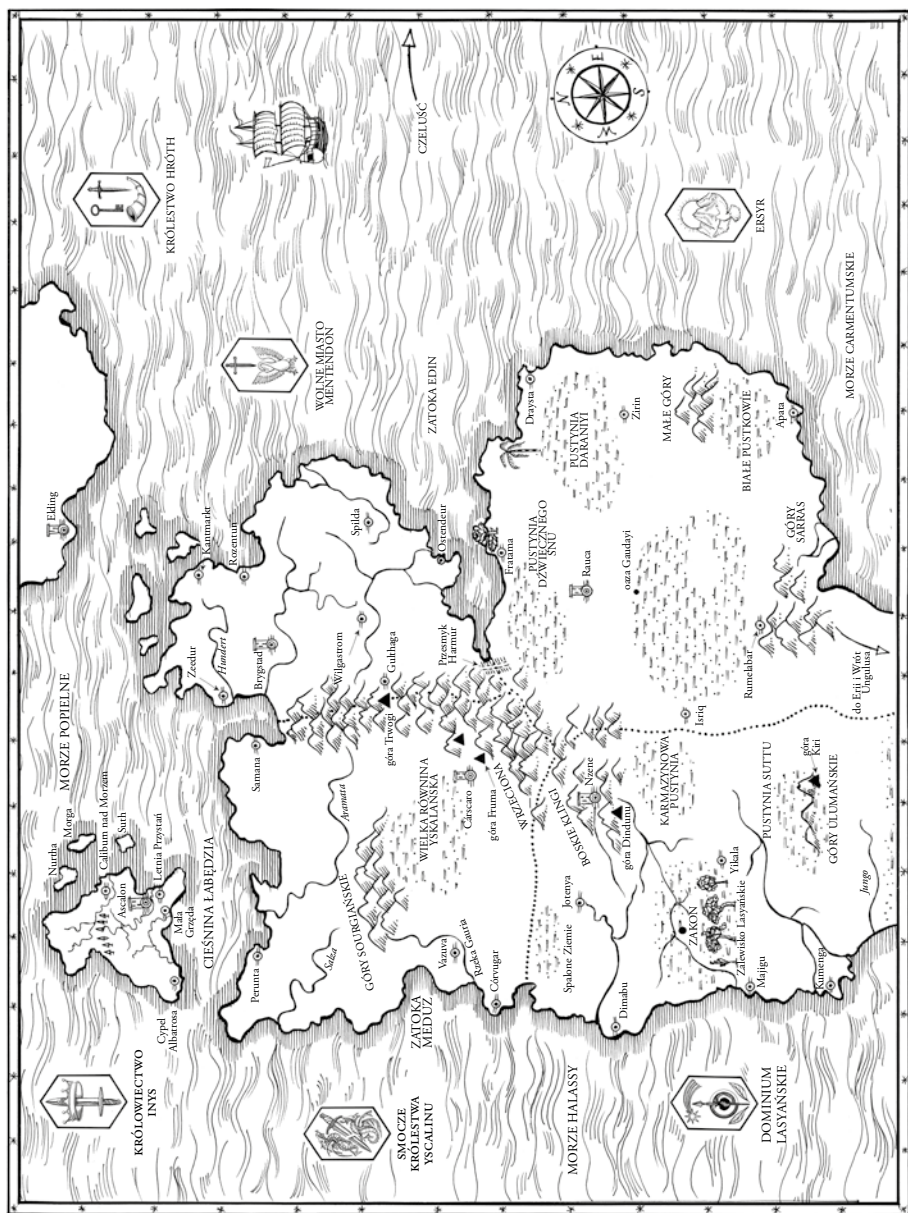
ZARZĄD: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędziaś

WSPARCIE: Natalia Patorska

www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl

www.labotiga.pl





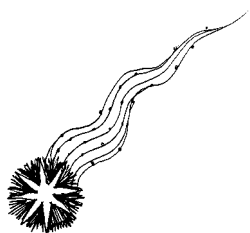
III

Nie pozwolisz żyć czarownicy

Wszystkie wawrzyny ziemi naszej uschły,

Statych gwiazd rojom grożą meteory,

William Szekspir, *Ryszard II*, tłum. Leon Ulrich



38 Wschód

Codziennie o świcie dzwon rozbrzmiewał donośnie. Słyszając go, uczeni ze Skrzydła stali łóżka i szli do łaźni. Gdy się umyli, jedli wspólny posiłek, a potem, nim obudzili się Starsi, poświęcali godzinę na modły i rozważania. Ta godzina była ulubioną porą dnia Tané.

Kłęczała przed wizerunkiem wielkiego Kwirikiego. Woda ściekała po ścianach podziemnej jaskini i spływała do sadzawki. Tylko latarnie dawały odpór ciemności.

Statua Prastarca nie przypominała tych, do których Tané modliła się na Seiiki. Ta była wzbogacona o atrybuty różnych postaci, które przybierał w trakcie życia: rogi jelenia, szpony ptaka i ogon węża.

Minęło trochę czasu, nim do Tané dotarło stukanie żelaznej nogi o kamienną podłogę. Podniosła się i zobaczyła Starszego Varę stojącego u wejścia do grotty.

– Uczennica Tané. – Skłonił głowę. – Wybacz, że przeszkodziłem w rozważaniach.

Ukloniła się z szacunkiem.

Starszy Vara był uważany za ekscentryka przez większość mieszkańców Lotki. Chudy mężczyzna o bladobrazowej skórze i kurzych łapkach w kącikach oczu zawsze miał dla niej uśmiech i dobre słowo. Jego głównym obowiązkiem było dogłębne i zarządzanie repozytorium, ale w razie potrzeby brał też na siebie rolę uzdrowiciela.

– Byłbym zaszczycony, gdybyś zechciała dołączyć do mnie w repozytorium dziś rano – powiedział. – Ktoś inny przejmie twoje obowiązki. Ale bez pośpiechu, najpierw rozważania – dodał po chwili.

Tané zawahała się.

– Nie mam prawa wstępu do repozytorium.

– No cóż, dzisiaj masz.

Zniknął, zanim zdążyła odpowiedzieć. Powoli uklękła i trwała tak jeszcze przez chwilę przed statua.

Ta jaskinia była jedynym miejscem, gdzie mogła choć na krótki moment zapomnieć o wszystkim, co ją spotkało. Była to jedna z wielu grot ukrytych za wodospadem, z których korzystali seiikinescy uczeni po tej stronie wyspy.

Okadziła statuę i skłoniła się z nabożną czcią. Klejnoty wprawione w oczodoły posągu mierzyły ją połyskliwym wzrokiem.

Wspięła się po schodach i wyszła na dwór. Niebo miało żółtą barwę niebielonego jedwabiu. Przeszła boso po kamieniach na drugą stronę stawu.

Wyspa Skrzydło była samotna i dzika, otoczona bezkresną pustką. Stronne klify i nigdy nierozwiewający się zupełnie kaptur chmur przedstawiały imponujący widok, niekiedy odstraszały dla zapuszczających się na te wody marynarzy. Na kamienistych plażach wylegiwały się rozleniwione węże. Skrzydło było domem dla przybyszów z całego Wschodu. To

właśnie tutaj spoczywały kości wielkiego Kwirikiego, który, jeśli wierzyć legendzie, ułożył się do snu w wąwozie dzielącym wyspę na pół, zwanym Drogą Starszego. Mówiło się też, że to jego kości nie pozwalają rozwiać się mgle, bo smok przyciąga wodę nawet po śmierci. To właśnie dlatego również Seiiki było wiecznie spowite białym obłokiem.

Seiiki.

Na wysuniętym na północ Przylądku Pióro mieściła się Wichrowa Twierdza. Jej mniejszy odpowiednik – samotnia zwana przez wszystkich Lotką, gdzie nakazano przebywać Tané – zbudowana została na wygasłym wulkanie otoczonym lasem. Poniżej znajdowały się lodowe jaskinie, którymi niegdyś płynęła lava. Aby dostać się z jednej samotni do drugiej, należało przejść zadaszonym mostem przerzuconym nad rozpadliną.

Nie było tu żadnych innych osiedli. Uczni i uczniowie byli zupełnie sami pośród bezkresnego morza.

Samotnie stanowiły największe wschodnie bastiony wiedzy. Na każdy kolejny element należało zapracować, opanowując poprzedni. Zamknięta w czterech ścianach Tané najpierw uczyła się o ogniu i wodzie. Ogień, żywioł skrzydlatych demonów, wymagał ciągłego karmienia. Był żywiołem wojny, chciwości i zemsty – wiecznie głodnym i nigdy sytym.

Woda nie potrzebowała ani węgla, ani drewna, by istnieć. Dostosowywała się do każdego kształtu, każdej przestrzeni. Odżywiała ciało i ziemię, nie prosząc o nic w zamian. Dlatego smoki Wschodu, władcy deszczu, jezior i mórz, zawsze triumfowały nad ognioziejami. Gdyby ocean pochłoniął kontynenty, przetrwałyby tylko smoki.

Rybołów sfrunął nad powierzchnię rzeki, jednym błyskawicznym ruchem schwytał różankę i odleciał posilić się

zdobyczą. Przez drzewa przesączył się chłodny wiatr. Smok Jesieni wkrótce zapadnie w sen, a w dwunastym jeziorze zbudzi się Smok Zimy.

Gdy Tané ruszyła sfatygowanym mostem wiodącym z powrotem do samotni, narzuciła kaptur na głowę. Obcięte przed opuszczeniem Ginury włosy ocierały się o jej obojczyki. Miduchi Tané miała długie włosy. Duch, którym się stała, krótkie.

Po czasie przeznaczonym na rozważania zwykle zamiatała podłogi, pomagała zbierać owoce leśne, czyściła groby z liści i karmiła kury. Na Skrzydle nie było służących, więc uczniowie i uczennice dzielili się obowiązkami, których większością obarczano młodych i silnych. Tané nie wiedziała, co myśleć o poleceniu Starszego Vary, jako że w repozytorium przechowywano najważniejsze, najbardziej bezcenne dokumenty.

Gdy przybyła na Skrzydło, udała się do przydzielonego jej pokoju i leżała tam całymi dniami. Nie jadła ani kęsa stawy i nie rozmawiała z nikim. W Ginurze odebrali jej całą broń, a wraz z nią lwią część duszy. Chciała już tylko opłakiwać swoje marzenie, aż w końcu przestanie oddychać i wspomnienia odejdą w niebyt.

To Starszy Vara sprawił, że się opamiętała. Gdy zaczęła słabnąć z głodu, wyciągnął ją na zewnątrz. Pokazał jej kwiaty, których nigdy jeszcze nie widziała. Kiedy następnego dnia przygotował dla niej posiłek, nie chciała go rozczarować i zmusiła się do jedzenia.

Teraz inni uczniowie nazywali ją Duchem Lotki. Mogła jeść, pracować i czytać jak reszta, ale jej wzrok zawsze skierowany był ku światu, gdzie wciąż żyła Susa.

Tané zeszła ze ścieżki i ruszyła do repozytorium. Zwykle wpuszczano tam tylko starszych. Gdy podeszła do schodów,

Skrzydło zadrżało. Przypadła do ziemi i zakryła głowę ramionami. Syknęła z bólu przez zaciśnięte zęby.

Węzeł w jej boku był jak ostrze noża. Lodowate klucie, niczym zęby wżerające się w nagą skórę, odmrożenie rozlewające się po wnętrznościach. Łzy stanęły jej w oczach, gdy przepłynęły przez nią pulsujące fale bólu.

Musiała na moment stracić przytomność. Usłyszała, że woła ją jakiś ciepły głos.

– Tané. – Ręce obciągnięte suchą, cienką jak papier skórą. – Uczennico, czy wszystko w porządku?

Chciała przytaknąć, ale nie mogła dobyć głosu.

Trzęsienie ziemi się skończyło, lecz ból nie ustawał. Starszy Vara wziął ją na ręce. Ogarnął ją wstyd, że starzec musi nieść ją jak dziecko, ale ból był nie do wytrzymania.

Zabrał ją na dziedziniec za repozytorium i położył na kamiennej ławie przy stawie rybnym. Na otaczającym go kamiennym murku stał dzbanek.

– Chciałem pójść z tobą dzisiaj na spacer nad urwisko – powiedział – ale widzę, że trzeba ci odpoczynku. Może innym razem. – Nalał herbaty dla siebie i dla niej. – Czy doskwiera ci ból?

Miała wrażenie, że ktoś nasypał lodu do jej klatki piersiowej.

– Stara rana. To nic, Starszy – zapewniła go chrapliwym głosem. – Trzęsienia ziemi są coraz częstsze.

– Tak. Jakby świat chciał zmienić swój kształt, niczym przedwieczne smoki.

Wróciła myślami do swojej rozmowy z Nayimathun. Starając się uspokoić oddech, patrzyła na siadającego obok niej starca.

– Boję się trzęsień ziemi – wyznał. – Gdy mieszkałem na Seiki, razem z mamą kryliśmy się w naszym małym domu

w Basai, ilekroć ziemia zbudzała się do drżenia. Opowiadaliśmy sobie historyjki, by czymś zająć uwagę.

Tané chciała się uśmiechnąć.

– Nie pamiętam, czy moja matka robiła to samo.

Gdy to mówiła, grunt znowu zadrżał.

– To może ja ci jakąś opowiem – zaoferował Vara. – Żeby tradycji stało się zadość.

– Chętnie posłucham.

Podał jej parujący kubek. Tané przyjęła go w ciszy.

– W czasach poprzedzających Wielką Rozpacz ognioziej przyleciał do Imperium Dwunastu Jezior i wydarł perłę z gardła Smoczycy Wiosny, która obdarza nas kwiatami i ciepłym deszczem. Skrzydlate demony niczego tak nie kochają jak gromadzenia skarbów, a nie ma cenniejszego skarbu niż smocze perły. Choć Smoczycza Wiosny odniosła poważne rany, zabroniła swoim ścigać złodzieja z obawy, że ich także skrzywdzi – ale jedna mała dziewczynka postanowiła, że odzyska skradzioną perłę. Miała dwanaście lat, była mała i szybka i potrafiła się tak bezszelestnie skradać, że jej bracia wołali ją: Mały Cień.

Gdy smoczycza opłakiwała utratę perły, na krainę spadał mroźna i dziwna zima. Choć mróz palił skórę Małego Cienia i nie miała butów, odnalazła górę, gdzie ognioziej miał swój skarbiec. Podczas gdy bestia polowała, dziewczynka zakradła się do jego jaskini, by odebrać perłę należącą do Smoczycy Wiosny.

Byłby to ciężki łup. Najmniejsze smocze perły były wielkie jak ludzka głowa.

– Ognioziej wrócił akurat w chwili, gdy dotknęła klejnotu małymi rączkami. Rozzłoszczony kłapnął paszczą na złodziejkę i wyrwał jej z uda kawał mięsa. Dziewczynka dała nura do rzeki, a prąd zabrał ją spod jaskini. Udało jej się umknąć wraz

z perłą, lecz gdy wynurzyła się z wody, nie mogła znaleźć nikogo, kto zszylby jej ranę, bo widok krwi ogniozieja wzbudził we wszystkich strach przed smoczą plagą.

Tané wpatrywała się w Starszego Varę przez unoszące się znad kubków smużki pary.

– I co się z nią stało?

– Umarła u stóp Smoczycy Wiosny. A gdy znowu zakwitły wiosenne kwiaty i słońce stopiło śniegi, Wiosenna Smoczycza ogłosiła, że rzeka, którą przepłynęła Mały Cień, zostanie nazwana jej imieniem, albowiem to dziecko zwróciło jej perłę, która była smoczym sercem. Niektórzy twierdzą, że jej duch wciąż wędruje brzegiem rzeki, trzymając pieczę nad wędrowcami.

Tané nigdy nie słyszała opowieści o człowieku, który wykazałby się taką odwagą.

– Są tacy, którzy twierdzą, że to smutna historyjka – powiedział Vara. – Inni uważają ją za wzruszającą opowieść o poświęceniu.

Kolejny wstrząs poruszył ziemią, a w Tané coś odpowiedziało. Usiłowała nie pokazywać, jak bardzo ją boli, ale Starszy Vara był o wiele za bystry jak na mężczyznę w swoim wieku.

– Tané – zwrócił się do niej – czy mogę zobaczyć tę starą ranę?

Tané uniosła tunikę tylko na tyle, by mógł obejrzeć bliznę. W świetle dnia wydawała się wyraźniejsza.

– Mogę? – spytał Vara. Gdy skinęła głową, dotknął blizny palcem i się skrzywił. – Pod spodem jest opuchlizna.

Była twarda jak kamień.

– Moja nauczycielka powiedziała, że miałam ją już, gdy jako dziecko trafiłam do Domów Nauki.

– A więc nigdy nie spytałaś lekarza, czy da się coś z nią zrobić?

Zaprzeczyła ruchem głowy i zakryła szramę.

– Myślę, że powinniśmy otworzyć twój bok, Tané – zdecydował Starszy Vara. – Pozwól, że posłę po odpowiednią osobę. Większość podobnych narośli jest niegroźna, ale czasem się zdarza, że zjadają ciało od środka. Nie chcielibyśmy, żebyś umarła niepotrzebnie, dziecko. Tak jak Mały Cień.

– Ona nie umarła niepotrzebnie – powiedziała Tané z nieobecny wzrokiem. – Swoim ostatnim tchem przywróciła radość smoczycy, a dokonawszy tego, ocaliła świat przed zimą. Czy można lepiej wykorzystać życie?



39

Południe

Karawana złożona z czterdziestu dusz meandrowała między wydrami pustyni. Piasek migotał w wątlm świetle zachodzącego słońca.

Siedząca okrakiem na wielbłądzie Eadaz uq-Nāra wpatrywała się w czerwieniejące niebo. Jej skóra była spalona na głębokii brąz, a przycięte do ramion włosy okrywał pargh.

Karawana, do której dołączyła na placu Gołębim, zapuściła się na północne rubieże Burlah, pasa pustyni biegnącego aż do Rumelabaru. W Burlah rządziły plemiona Nuram. Karawana już napotkała kilku kupców, którzy podzielili się swoimi zapasami i ostrzegli podróżników, że za górami latają wyrmy, z pewnością ośmielone plotkami o pojawieniu się na Wschodzie kolejnej wielkiej zachodnicy.

Ead, zdążając do Rauki, zatrzymała się w Pogrzebanym Mieście. Góra Trwogi, narodzisko wyrmów, była miejscem tak okropnym, jak je pamiętała, sterczącym w niebo niczym złamany miecz. Raz czy dwa, chodząc między powalonymi

filarami, zwróciła uwagę na skrzydlate kształty kołujące nad wierzchołkiem. Wiwerny garnęły się do swej kołyski.

W cieniu góry leżały pozostałości wspaniałego niegdyś miasta – Gulthagi. Pod skąpymi ruinami znajdowała się zatopiona pod zwałami popiołu wymarła metropolia. Gdzieś tam Jannart utt Zeedeur zginął, szukając zaginionej wiedzy.

Ead rozważała podążenie jego śladem – może dowiedziałyby się czegoś więcej o tej Długowłosej Gwieździe, komecie, która odpowiadała za równowagę tego świata. Obeszła ruiny, szukając wejścia pod hałdy skamieniałego popiołu, z którego mógł swego czasu skorzystać Jannart. Szukała wiele godzin, a gdy już miała się poddać, dostrzegła tunel, szczelinę w ziemi, szeroką ledwie na tyle, by zdołała wczołgać się tam szczupła osoba. Zajrzawszy do środka, odkryła, że przejście zawalone jest kamieniami.

Nie było sensu tam wchodzić, zresztą i tak nie znała języka, którym posługiwano się w Gulthadze. Ale... przepowiednia Truyde nie dawała jej spokoju.

Myślała, że powrót na Południe tchnie w nią nowe życie. I w rzeczy samej, gdy wkroczyła na Pustynię Niespokojnego Snu, czuła się jak nowo narodzona. Zostawiwszy Bohatera w bezpiecznym miejscu w Przesmyku Harmur, ruszyła sama piaszczystym szlakiem do Rauki. Widok miasta dodał jej sił, które jednak wkrótce wywiały z niej wichry Burlah.

Jej skóra zapomniała już dotyku pustyni. Ead była teraz kolejnym brudnym i styranym podróżnikiem, a wspomnienia majaczyły w jej głowie jak fatamorgana. Czasem prawie wierzyła, że nigdy nie nosiła drogich jedwabów i klejnotów na dworze zachodniej królowej. Że nigdy nie była Ead Duryan.

Między kopytami jej wielbłąda przemknął skorpion. W powietrzu niosła się pieśń – inni podróżnicy próbowali za-
bić czas. Minęły wieki, odkąd słyszała ostatnio ersyrski śpiew.

Na cyprysie cupnął śpiewak uskrzydłony.

Smętną pieśń szczebioce: pragnę znaleźć żonę.

Ze mną tańcz, kochana, pośród wydm piaszczystych.

Jutro razem ulecimy ku niebiosom czystym.

Od Rumelabaru wciąż dzielił ją szmat drogi. Zimą przedarcie się przez Burlah zajmie karawanie długie tygodnie, a noce na pustyni potrafią zabijać nie gorzej niż palące słońce. Zastanawiała się, czy Chassar już wie, że opuściła Inys – wiadomość o tym z pewnością odbije się na stosunkach dyplomatycznych z Ersyrem.

– Rozbijemy obóz w Nuram – obwieścił naczelnik karawany. – Idzie burza.

Wiadomość powtórzono wzdłuż linii wielbłądów. Sfrustrowana Ead mocniej ścisnęła wodze. Nie miała czasu kryć się przed burzą.

– Eadaz.

Obróciła się w siodle. Zrównał się z nią inny wielbłąd. Ragab był zaprawionym w podróży posłańcem pocztowym, który zmierzał na południe z torbą pełną listów.

– Burza piaskowa, co? – powiedział głębokim, znużonym głosem. – Ta podróż nigdy się nie skończy.

Ead lubiła jechać z Ragabem, który miał w zanadrzu mnóstwo ciekawych historii i twierdził, że przebył pustynię prawie sto razy. Przeżył atak bazyliszka na swoją wioskę. Bestia zabiła jego rodzinę, oślepiła go na jedno oko i pokryła jego ciało siatką blizn. Inni podróżnicy patrzyli na niego z politowaniem.

Na Ead też. Słyszała, jak szepczą między sobą, że jest wędrownym duchem w ciele kobiety, uwięzionym między światami. Z całej zbieraniny tylko Ragab odważył się do niej zbliżyć.

– Zapomniałem, jak niegościnnym miejscem jest Burlah – odpowiedziała Ead. – I jak opustoszałym.

– Jechałeś tędy już kiedyś?

– Dwukrotnie.

– Gdy przebędziesz Burlah tyle razy co ja, dostrzeżesz w tym surowym pustkowiu swoje piękno. Choć ze wszystkich ersyrskich pustyń najbardziej ukochałem Pustynię Niepokojnego Snu. Moją ulubioną opowieścią z czasów dzieciństwa jest ta wyjaśniająca, skąd wzięła się jej nazwa.

– To bardzo smutna opowieść.

– Ja myślę, że piękna. Mówi przecież o miłości.

Ead sięgnęła do butelki przy siodle.

– Minęły lata, odkąd ostatni raz ją słyszałam. – Wyjęła korek. – Nie opowiedziałbyś?

– Jeśli chcesz. Mamy czasu a czasu.

Poczęstowała Ragaba trunkiem, a potem sama łyknęła. Poślaniec odkasznął w zgrubiałą pięść.

– Dawno temu żył sobie król ukochany przez swój lud. Rządził swym królestwem z błękitnoszklanego pałacu w Ra-uce. Jego żona, Motyla Królowa, którą kochał ponad życie, umarła w młodości i długo ronił za nią łzy. Królewscy urzędnicy władali krajem zamiast niego, gdy on sam tkwił zamknięty w więzieniu swej rozpacz, otoczony bogactwem, które zdążył znienawidzić. Ani pieniądze, ani drogie kamienie nie mogły wykupić z niewoli śmierci kobiety, którą utracił. Z czasem zaczęto więc mówić o nim: Król Smutku.

Pewnej nocy wstał z łoża po raz pierwszy od roku i zobaczył na niebie czerwony księżyc. Wówczas wyrżał przez okno

i... oczom nie wierzył! W pałacowych ogrodach siedziała jego królowa ubrana w suknię, którą miała na sobie w dniu ślubu. Zawołała, by do niej dołączył. Jej oczy skrzyły śmiechem i trzymała w ręku różę, którą dał jej, gdy spotkali się po raz pierwszy. Myśląc, że śni, wyszedł z pałacu i ruszył śladem ukochanej ulicami miasta, a potem na pustynię – bez zapasu jedzenia ani wody, bez szat, nawet bez butów. Szedł i szedł, zdążając za widocznym w oddali cieniem. Nawet gdy słońce zaczęło palić mu skórę, nawet gdy dopadło go wycieńczenie i opadł z sił, gdy zaczęły ciągnąć za nim ghule, powtarzał pod nosem: ja śnię, to musi być sen. Ale szedł za swą miłością, wiedząc, że w końcu jej dosięgnie i spędzi z nią jeszcze jedną noc, choćby tylko we śnie – nim zbudzi się we własnym łóżku.

Ead przypomniała sobie drugą część historii. Wstrząsnął nią dreszcz.

– Oczywiście – podjął Ragab – król wcale nie śnił, a szedł za fatamorganą. Pustynia go oszukała. Wyzionął ducha pośród wydm, a jego kości przykrył piasek, zaś pustynia zyskała imię. – Poklepał wielbłąda, gdy ten prychnął i potrzęsął łbem. – Miłość i strach robią dziwne rzeczy z naszymi duszami. Sny, które przynoszą, a które sprawiają, że nie możemy dobrać tchu i ocekamy potem, jakbyśmy szykowali się na śmierć, to właśnie niespokojne sny. Może je odpędzić tylko zapach róży.

Ead poczuła gęsią skórę, gdy przypomniała sobie inną różę. Tę wsuniętą pod poduszkę.

Karawana dotarła do obozu, gdy na horyzoncie ukazała się burza piaskowa. Podróżników zaprowadzono w pośpiechu do stojącego w środku obozowiska namiotu, gdzie Ead usiadła z Ragabem na poduszkach. Nuramowie, którzy lubili gości, podzielili się z nimi serem i solonym chlebem. Po posiłku

zapalili fajkę wodną, którą również podali gościom. Ead odmówiła. Ragab z radością wypalił jej dolę.

– Nikt z nas nie będzie tej nocy spał spokojnie. – Dmuchał pachnącym dymem. – Gdy burza minie, w trzy dni powinniśmy dojechać do oazy Gaudaya. A potem czeka nas jeszcze długa droga.

Ead wlepiła wzrok w księżyc.

– Ile trwają te burze? – spytała Ragaba.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Trudno powiedzieć. Może parę minut, może parę godzin. Może więcej.

Ead przedzieliła na pół bochen chleba, a kobieta z plemienia Nuram nalała im słodkiej różowej herbaty. Nawet pustynia konspirowała przeciw niej. Rozważała przez moment, czy nie porzucić karawany i nie jechać dalej sama tak długo, jak będzie trzeba, aż stanie przed Chassarem. Ale Ead nie była Królem Smutku. Strach nie pozbawi jej zmysłów. Nie była na tyle dumna, by roić sobie, że zdoła sama przeprawić się przez Burlah.

Podczas gdy inni podróżnicy słuchali opowieści o Błękitnoszklanym Złodzieju z Drayasty, Ead otrzepała ubranie z piachu, żując miękką gałązkę, by wyczyścić zęby, a potem znalazła sobie miejsce do spania za zasłoną.

Nuramowie często sypiali pod gwiazdami, lecz teraz, gdy nad głowami wyła piaskowa burza, pochowali się w namiotach. Stopniowo nomadowie i ich goście zaczęli szykować się do spania. Ead zapadła w pozbawiony marzeń sen.

Obudził ją jakiś odgłos na piasku.

Natychmiast otworzyła oczy. Namiot się trząsł, mimo to słyszała dobiegający z zewnątrz dźwięk. Coś szło, pewnie stawiając nogi na miękkim podłożu. Wyjęła z plecaka sztylet i wyszła w noc.

Wiatr cisnął jej piaskiem w twarz, więc przytrzymała pargh na ustach. A potem zobaczyła coś przed sobą. Uniosła sztylet, pewna, że to jakaś mała wiwerna – lecz wówczas stwór wyłonił się z chmury pyłu i stanął przed nią w pełnej krasie.

Usta Ead rozciągnął uśmiech.

Parspa była ostatnią znaną *hawiz*. Ptaki były białe, jeśli nie liczyć brązowych końcówek skrzydeł, i osiągały te same rozmiary co wiwerny, które parzyły się z nimi, by płodzić kokatryksy. Chassar, który kochał ptaki, znalazł Parspę, jeszcze zanim się wykluła, i przyniósł jajo do Zakonu. Teraz słuchała tylko jego. Ead zabrała swoje rzeczy i wspięła się na ptasi grzbiec. Wkrótce obóz zniknął w piaskowej chmurze.

Uciekali przed wstającym słońcem. Ead wiedziała, że są już blisko, gdy zobaczyła solne cedry. Niespodziewanie znalazła się w Lasyi.

Jej ojczyzna słynęła z czerwonych pustyń i postrzępionych łańcuchów górskich, pełnych ukrytych jaskiń i wodogrzmotów. Złotych plaż, których piasek fale Wszechmorza pokrywały pianą. Była suchym krajem, tak jak Ersyr, ale płynęły przez nią szerokie rzeki, do których tuliła się zielona roślinność. Patrząc na rozciągające się w dole równiny, Ead poczuła, że odchodzi ją tęsknota za rodzimym krajem, mimo że zdążyła zapuścić korzenie w jej sercu w czasie ośmiu lat spędzonych na dworze Inys. Choćby zwiedziła cały świat, to tę jego część zawsze będzie uważać za najpiękniejszą.

Wkrótce Parspa frunęła już nad ruinami Yikali. Ead i Jondu wymykały się tu wielokrotnie jako dzieci, by szukać przedmiotów pamiętających czasy Matki.

Parspa zatoczyła półkole i skierowała się ku Zalewisku Lasyańskiemu – rozległemu pradawnemu lasowi, który spijał

wody rzeki Minary i w którego trzewiach kryła się siedziba Zakonu. Nim wstało słońce, Parspa już szybowiała nad drzewami, rzucając cień na gęsto zbite, rozłożyste korony.

Ptak wreszcie obniżył lot i wylądował na jednej z nielicznych polan. Ead zsunęła się z jego grzbietu.

– Dziękuję, przyjaciółko – powiedziała po selinyjsku. – Stąd już trafię sama.

Parspa wzbiła się w powietrze bez słowa.

Ead zanurzyła się w gęstwinę, czując się mała niby liść na gałęzi któregoś z nich. Jej obolałe stopy zaraz przypomniały sobie drogę, mimo że ta zapodziała się w jej umyśle. Gdzieś tu było wejście do jaskini, obłożone potężnymi czarami ochronnymi, ukryte w największej gęstwinie. Znajdującym się za nią korytarzem Ead podąży w głąb labiryntu tajemnych sal.

Z dawna niesłyszany szept we krwi. Obróciła się. Kobieta stała w płamie słońca. W krągłym brzuchu z całą pewnością kryło się dziecko.

– Nairuj – powiedziała Ead.

– Eadaz – odparła kobieta. – Witaj w domu.

Koniec fragmentu
Zapraszamy do księgarni



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

